

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 26 sierpnia 1843.

Rok czwarty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcji pod nrem 301., we Lwowie.

M O D Y.

Paryż, dnia 12 sierpnia 1843.

Stroje damskie. Nie wiele zmiany zaszło w strojach, od czasu ostatnich naszych doniesień. Do sukien jakieśmy już opisywali, przybyły suknie *à la Josephine*. Sznurowania należą do wyjątków w tej chwili, wprawdzie można je i teraz widywać; ale najwięcej są one do twarzy osobom dobrej tuszy, a osobliwie takim, które umieją sobie nadać ruch nadobny. Nie jestto wcale drobnostką; mało komu jest dano obrać najstosowniejszy ubiór dla siebie i być w harmonii z temi wdziękami, jakie piękny krój sukni nadaje.

Amazonki wielką mają dziś wziętość u naszych pań kąpiących się, które ich raz wraz potrzebują do częstych konnych przejazdów zalecanych powszechnie od miejscowych lekarzów.

Strój od domu: szlafroczek z tafty włoskiej w różnobarwne paski, stanik otwarty, z szerokimi klapami, przyplaszczonemi po obu stronach; rękawy kończące się festonami *à la vielle*, stosownemi do tych które zdobią stanik i spodnicę naprzód sukni wzdłuż całej spodnicy. Czypeczek muszlinowy ubrany alexandryjskimi korunkami i kwiatami.

Strój do wyjścia: suknia sposobem szlafroczkowym z toaliny markizy w żółte odcienia, stanik obcisły nieco marszczony; rekawy *amedis*, wpółdlugie, sięgające aż do trzech cali wyżej łokcia, poniżej których idą jeszcze rękawki korunkowe, rękawiczki na czwartą część ręki. Mantyla z indyjskiego muszlinu, ozdobiona łabędzikami, kapotka z słomki i grodenaplu ozdobiona piórami i kwiatami.

Przechadzka: suknia z pekinu, bareżu, na dnie białym, z szeroką listewką atlasową; stanik otwarty,

rękawy *amedis*, spodnica jednostajna, ozdobiona przez środek, a to w kierunku jak idzie brykla zygzakami zmarszczony; mantyla korunkowa czarna, z zakładką po brzegach, przez którą przewleczona jest czarna atlasowa wstążka, poły u mantyli są zaokrąglone; kapeluszek lekki słomkowy ozdobiony kwiatami i wstążką atlasową; wachlarzyk *à la bonne femme*.

Strój obiadowy: suknia organtynowa nakrapiana, stanik półotwarty i fałdowany z przodu, z tyłu zaś gładki, rękawy obcisłe i krótkie, kończące się dwoma ukosami zachodzącymi jeden na drugi. Spodnica ozdobiona sześcią zakładkami nieco od siebie oddalonymi; zakładki te są stopniowo coraz większe u dołu, tak, że ostatni jest dwa razy tak wielki jak pierwszy. Głowa w włosach z przepaską tylko i pięknym żółtym grzebieniem bez żadnej innej ozdoby.

Rycina przedstawia: suknię z bareżu z dwoma spodnicami, stanik bez szpicu, marszczone rękawy, wysoki na głowie negliżyk, kwiatami ubrany. Druga figura peniuar z muszlinu w przodzie z zakładkami, korunką obszyte rekawy, grecki na głowie negliżyk wstążkami ubrany. Trzecia suknia jedwabna z wysokim stanikiem, mantylka z grodenaplu korunką obszyta; kapotka piórami ubrana.

Stroje męskie. Prócz fraków i surdutów, których krój najnowszy oglądać można na naszych rycinach, zajmują się w tej chwili bardzo krojem kamizelki; najrozmaitsze zmiany dają się u nich spostrzeżać, a wszystkie są modne. Można więc obaczyć kamizelki z bardzo wielkim kołnierzem i klapami układane prawie aż do dołu; i kamizelki niewykładane wcale lub tym podobne.

Rycina przedstawia: frak do spaceru, koloru czarnego, kieszenie z boku pod patkami. Kamizelka o dwóch rzędach guzików.

Zamek w Normandii.

Zdarzenie prawdziwe. *)

Hrabina M* była kobieta dobrze urodzona, bogata, mająca dom otwarty, wielki, i chęć zrobienia go przyjemnym, a z temi środkami czegoż nie można dokażać w Paryżu? Jakoż chociaż już nie młoda pani M*, miała salon bardzo towarzyski, i dom jej należał do tych, w których cudzoziemcy najprzód się przedstawiali.

Pani M* miała brata bogatszego od siebie, który żył w dobrach swoich. Zdania jego były przesadne; był on niegdyś w wojsku Kondeusza, a wróciwszy do Francji tyle był szczęśliwy, iż znalazł cały swój majątek nietykany, który mu oddano. Pan P* nie krył zupełnie zdań swoich mówiąc zawsze, że cesarz tym więcej go szacuje, im szczerzej on się spowiada z wiary swojej. Pan P* miał córkę jedynaczkę, która miała odziedziczyć nie tylko wielki jego majątek, ale i majątek ciotki.

Pan P* umarł nagle prawie w skutek spadnięcia z konia w czasie polowania; tyle miał tylko czasu, że powierzył córkę siostrze swojej, i powiedział panie P* iż ostatnim jego jest życzeniem, by została wierną ich zdaniom.

Panna Amelia P* miała siedmnaście lat; ładna chociaż nie miała nic odznaczającego się. Zwyczajnie była poważna, i tym bywał miłszy rzadki jej uśmiech gdy rozweselał jej twarz; wzrost jej był wyniosły, wysmukły, postawa szlachetna; jednym słowem była to osoba miła, w której mężczyźni radziby zapewne byli wzbudzić miłość, gdyby ich nie odpychała jej oziębłość, dowodząca iż nie tak łatwo serce swoje odda.

Skoro pani M* dowiedziała się o śmierci brata, pośpieszyła z Paryża, i udała się do zamku gdzie synowica jej mieszkała. Znalazła ją przygnębianą nie szczęściem tak świeżem, i nie bardzo chętną dzielić przyjemności huczego ciotki domu. W pierwszych miesiącach tłumaczyła ją żaloba, ale nareszcie trzeba było zmienić sposób życia, zdolny urazić krewne, którą ojciec kazał szanować jak matkę, a zatem skoro przyodziła na się półżalobę, przysłała Amelia do pokojów ciotki.

Byłoto zdarzenie niemałe dla salonu pani M*, gdy się poraz pierwszy pojawiła w nim jej synowica. Młode dziewczęta patrzyły na nią z zazdrością, matki z nieukontentowaniem, a mężczyźni z nadzieją pod-

bania się. Łatwo zrozumieć że tych szeregi coraz były ciałniejsze, bo Amelia była dziedziczka jakich mało, bogata, dobrze urodzona, młoda i ładna.

Pani M* wkrótce przywiązała się do synowicy pełnem uczuciem matki; młoda dziewczyna odpowiadała na te uczucia całą duszą swoją, która była kochająca i nawet namiętna mimo pozornej oziębłości.

— Amelio! mówiła raz ciotka do niej, trzeba żebyś już raz poszła zamąż.

— Dla czego ciotciu? czyliż wzięcie męża jestto warunek konieczny przywiązany do nazwiska kobiety? Ja jestem szczęśliwa w tym stanie w którym jestem; dajcie mi przemarzyć życie!... Mój boże, zbudzenie przyjdzie zawsze nadto wcześnie... a potym ja ciebie niechęć porzucić. — I schyliła się na ręce hrabiny, całowała je, a hrabina sciskając ją nawzajem mówiła.

— W istocie dobrze mówisz dziecie moje!... Nawet niewiem jakbym zdołała rozdzielić się z tobą.

Ale starający się nie odstraszały się zupełnie, a dowiedziawszy się że ciotka i synowica niechęć się rozdzielać, przyrzekali oczywiście iż mieszkać będą u pani M*, jeżeli tego sobie życzyć będzie.

Amelia zimno przyjmowała wszystkie te hołdy, i zdawało się że żaden z nich poruszyć jej nie zdołał; zawsze jednakowo była poważna, smutna jej twarz nie ożywiała się żadną myślą wewnętrzną na widok zbliżających się wielbicieli swoich. Byłoto w 1809 r.; Amelia miała ośmnaście lat.

Jednego razu pani M* zdała się być zajęta ważnem zatrudnieniem. Ona, która nigdy prawie domu nie porzucała, po całych dniach była w nim gościem tylko, i jej synowica, córka raczej, nie dowiedziała się o tem co ją tyle obchodzi, aż gdy skutek dobry uwieńczył jej starania. Hrabina M* daleka krewna Bar-rasa zdołała za pomocą wpływów swoich wyratować po okropnościach rewolucyjnych człowieka, który miał się czego obawiać w tej odmianie: bo tym człowiekiem był Fuszeta!... Przeciw zwyczajowi złych ludzi był on wdzięczny, i gdy pani M* żądała od niego jakiej usługi, robił ją z wdziękiem, jaki mógł mieć ten człowiek w czemkolwiek. Tą razą pani M* powiedziała do Fuszeta, że to o co go chce prosić jest zapewne trudne, ale byle dogodził terazniejszej proźbie, pewnie miesiące i lata całe miną, nim będzie żądać nowej jakiej od niego przysługi.

Jakoż w rzeczy samej postuga była bardzo ważna, szło bowiem o powrót do kraju człowieka, który będąc w 1793 roku na spisie wychodźców, nie zrobił w 1800 roku żadnego kroku, niechęć wówczas wracać do Francji. Od tego czasu rzeczy wszystkie inną zupełnie przybrały postać. Widział on że władza cesa-

*) Powiastka ta wyjęta z dzieła pani Junot xiężny Abrantes pod tytułem »salony paryskie«.

rza ustala się codzień więcej i codzień więcej, codzień żywiej i mocniej dawała mu się czuć potrzeba odwiedzenia ojczystej ziemi.

»Czuję ja że można czas jaki przeżyć daleko od ojczyzny, pisał on do pani M*, ale trzeba się do niej zbliżyć przed śmiercią.... Czuję się potrzeba zamknąć tam swe oczy na zawsze, gdzie się je po raz pierwszy otworzyło. Niech tobie przyjaciółko moja będę winien to szczęście, a starcie mi się podwójnie drogiem.«

O tego to przyjaciela młodości swojej, brata lat starszych dopraszała się tak żywo hrabina u Fuszeta. Nalegania jej najzupełniejszy uwieńczył skutek i przyjaciel jej ujrzał Francję. Markiz R* skoro przyjechał do Paryża przybiegł zaraz do przyjaciółki swojej, która się stała dobrodziejką jego: szczęśliwi byli z tego widzenia się, a radość z obudwóch stron zupełnie była czysta: bo ta która zrobiła przysługę widziała prawdziwą wdzięczność, a w takim razie jak miło jest usłużyć!...

— Ale nie będę póty zupełnie zadowolony, dopóki nie wyrobisz dla mego przybranego syna tej samej łaski; rzekł markiz do przyjaciółki swojej.

I opowiedział jej, że po porażce pod Kiberonem wziął do siebie jedynaka swego krewnego, do którego był bardzo przywiązany, i że tam na placu bitwy przysięgł on umierającemu krewnemu swemu, że będzie ojcem osieroconego... Dziecko usłyszało tę przysięgę, a bóg ją przyjął... bo ojciec był męczennikiem świętej sprawy.

— Ileż ma lat twój syn przybrany? spytała hrabina.

— Dwadzieścia i ośm lat!...

— Jak to? tak młodego wystawiał go już ojciec na los bitwy!

Markiz uśmiechnął się z wyrazem smutnym prawie. »Nie znasz Henryka odpowiedział; nie wiesz jaka zapaleczywa dusza mieszka w tej istocie, którą ja sam nie znam jeszcze, chociaż on mnie najwięcej kocha po ojczyźnie swojej: bo Francja jest mu tą matką, którą dawno stracił. Sam chciał towarzyszyć ojcu, gdy ten poszedł pod Kiberon po śmierć.... Jeżeli chcesz żeby radość moja była zupełna, wyrób by Henryka wrócono nazad do kraju.

Hrabina odwiedziła znowu Fuszeta, i ułaskawienie młodego człowieka dodane zostało do ułaskawienia przybranego ojca. Doniesiono mu tę wiadomość, i w kilka dni był już w Paryżu. — Henryk C* nie przedstawił się zaraz hrabinie, jakoż tym zadziwiona wymówiła to markizowi R*.

— Coż robić! na to odpowiedział jej przyjaciel; dośyć przypatrzylem się twojej synowicy i przekona-

lem się, że podobać się jej jestto przedsięwzięcie nie małe do skutecznienia.... Jest ładna, bogata; syn mój przybrany ma bardzo szczupły majątek, mogłaby więc myśleć, że on tu bywa w celu podobania się jej. Henryk nie dba o siebie, ale jest tak przystojny, postawę ma tak odznaczającą się, że mógłby zapewne mieć prawo podobania się, i....

— I dla czegoż przerwała żywo hrabina, nie mielibyśmy ułożyć małżeństwo, któreby zbliżyło więcej jeszcze nasze dwie rodziny? Amelja jeszcze nie kochała, nie chce nawet iść za męża, ale syn twój może się jej podobać, i jakże byłabym szczęśliwa, gdyby on zdołał rozczulić to serce z lodu, którego nie dotąd poruszyć nie potrafiło.

Markiz mówił o tem z przybranym synem swoim; ale młody człowiek odmówił.

— Pani M* może się obrazić odmówieniem mojem rzekł Henryk; głęboką czuję dla niej wdzięczność, ale nienawidzę świata, i nigdzie bywać nie chcę.

Markiz się upierał; z początku nadaremnie... Henryk zdawał się obawiać wejść do tego domu.... Był to przecucie? nareszcie zniewolony powtórzonemi naleganiami ojca przystał, i jednego wieczora kiedy markiz wiedział, że się te panie same znajdują, wprowadził Henryka do salonu pani M*....

Henryk C* musiał wzbudzić żywe wrażenie na osobach, które go po raz pierwszy widziały, odkąd nabył tego rodzaju mężkiej i smutnej piękności, nadającej mu wyraz niezwykajny. Wrost jego był wyniosły, i wytwornie ukształcony, postawa pełna szlachetności, i nacechowana piętnem dobrego towarzystwa, tak rzadka zawsze, nie należy bowiem brać nadzwyczajność za szlachetne ułożenie. I twarz była piękna; osobliwie podobał się jej wyraz. Widząc tę twarz bladą z wejrzeniem przeciągłym i zamyślonem, z uśmiechem smutnym prawie, szyderezym często jak gdyby się sam śmiał z tej pozornej wesołości swojej, nie można było nic poznać, że ten człowiek cierpiał wiele, i uczucie jakieś pociągające prowadziło ku niemu; a utkwwszy później wzrok w jego oczy, widząc je iskrzące się przy opowiadaniu czynu jakiego szlachetnego lub walecznego, gdy poprawiając jasne swych włosów pierścienie odkrył czoło, na którym głębokie spoczywały myśli; nie można było nie przyznać przed sobą samym, że ten człowiek tajemnicze miał przeznaczenie pełne przeważnych i wielkich zdarzeń. Henryk mało mówił; ale milczenie jego nie było wyrazem pogardy: widać było że życie jego było wypełnione, a milczenie było oddaniem się własnym myślom.

Ojciec przedstawił go najprzód hrabinie, a potem Amelii. Okazał należycie wdzięczność swoją hrabinie,

rozmawiał mało, ale w tem co powiedział odkrył rozum i wiadomości, jakie Amelia nie często zdybywała. Była ona poruszona tem nowem dla siebie wrażeniem, i uczyła za to rodzaj wdzięczności dla Henryka, jakoż była dla niego więcej uprzejma, niż zwykle. Mówiąc do niego, głos jej stawał się rzewniejszy; widocznem było iż bała się posuwać za daleko w rozmowie swojej, by nie urazić niezgrabnie człowieka tyle razy dotkniętego aż do bólu. Henryk przyjmowany z przyjaźnią i zaufaniem w domu hrabiny czuł się wkrótce pociągnięty urokiem, którego nie chciał już unikać. Amelia tak się przyzwyczaiła widywać go, że jeżeli przypadkiem dzień jaki przeminał w którym się Henryk nie zjawił w salonie pani M*, była smutną, i spać niemogła; i Henryk przezwyczaj się przepędzać wieczory swoje przy Amelii i jej ciotce. Czytywał im nowe dzieła, albo podczas gdy kobiety zajmowały się jaką robotą, rozповідаł im okropności wojen wandejskich, i te morderstwa kiberonijskie... ale wówczas zdawał się przeistaczać zupełnie, stawał się lwem. Długie i jasne włosy jego drżały pod przemocą wrażenia własnymi słowy pobudzonego.... Malował najprzód, opisywał, a potem głos jego wznosił się do takiego stopnia zapału, iż słuchający drzeć musieli na wspomnienie jak biedne dziecko w pośród zarzniętych współbraci odbierało ostatnie westchnienia i błogosławieństwa w owym dniu krwawym w którym samomal nie zwiększył liczby męczenników. — Gdy Henryk rozpowiadał o tym dniu nieszczęśliwym, zapominał, że żyje, zapominał o wszystkim; wówczas Amelia poglądała na niego z wyrazem, którego on długo nie rozumiał; ale gdy oczami pełnemi łez śledząc każde spojrzenie ogniste młodzieńca nie starała się już ukryć tego co czuła, wówczas poznał Henryk że jest kochany. I postrzegłszy to po raz pierwszy podniósł ręce i oczy ku niebu, i podziękował bogu, że mu zesłał serce szlachetne by go rozumiało i pocieszyło.... Wyjął z zanadrza przedmiot starannie na piersi ukryty, i klękawszy długo się modlił; raptem myśl jakaś przerwała jego zamyślenie religijne. »Jak to? rzekł do siebie, jaż to się cieszę, że jestem kochany! mamże ja prawo szukać miłości i jej roskoszy?... nie, do innych ja starań przeznaczony!« a przecież... i w nowe wpadał zamyślenie pod natłokiem myśli, które go męczyły, i wzbudzały w nim bolesne cierpienia mieszające umysł jego, i niszczące w nim siły i zapał wszelki.

Amelia tymczasem poszła do ciotki. »Kocham Henryka, rzekła do niej, i nie mogę być szczęśliwa tylko z nim«. Ciotka uścisnęła ją najczulej i powiedziała, iż oddawna związek ten jest najpierwszym życzeniem jej i markiza. Tego samego dnia jeszcze posłała

hrabina po starego przyjaciela swego. Wszystko idzie jak najlepiej rzekła mu; Amelia kocha Henryka, i zdaje mi się że miłość ich jest wzajemna, odtąd zatem jedną już tylko tworzyć będziemy rodzinę.

Smutno spojrział na nią markiz i nie nie odpowiedział dając jej tylko do przeczytania list od Henryka. — »Jadę do Normandii, mój ojeze! pisał on. Postrzegłem że sprawy moje cierpią z przyczyny próżnowania w jakim żyję od niedawnego czasu. Jadę by odwiedzić niektóre włości, które mi zostały oddane. Proszę pisać do mnie do C*... — Dowiedziawszy się o raptownym wyjeździe Henryka, Amelia uczyła boleść niezmierną; długo z nią walczyła, ale na końcu uległa, i przez kilka tygodni była w zastraszającym stanie. Nigdy na chwilę nie wątpiła o miłości Henryka, i tak razem stracić złudzenie tej miłości, i rzeczywistość jego przytomności, to było nadto na kobietę, która miała tylko siłę do kochania. Siła ta długo drzemała, ale za to, teraz zbudziwszy się przemożna i olbrzymia samym tylko żywiła się cierpieniem.

Ciąg dalszy nastąpi.

ROTSZYLDOWIE.

Kogoż nie zastanawia szczególniejsze postrzeżenie, że dom Rotszyldów, który dawniej tylko rządowym potrzebom swą kiesę otwierał, teraz na czele wielkich narodowych przedsięwzięć staje, i z podziwienia godną usłużnością przemysł i dobro powszechnie ogromnymi kapitałami i nieograniczonym kredytem swoim wspiera i zagrzewa.

Najznakomitsi członkowie domu tego zjechali właśnie do Paryża; lecz obrady tego rodzinnego kongresu najściślejsza kryje tajemnica. Ci Rotszyldowie w wzorowej żyją z sobą zgodzie. Żenią się tylko między sobą, a stopnie wzajemnego ich pokrewieństwa tak rozmaicie są pokrzyżowane, że dziejopis w nie małym kiedyś będzie kłopotcie, jeśli ten zawiły kłębek rodowodu rozmotać i wyjaśnić zechce. Głową rodziny tej jest baron James Rotszyld, mąż rozgłośnej sławy, którego geniusz wprawdzie tylko w finansowych sprawach się objawia, który wszakże czy to niepospolitą przenikliwością ducha, czy instynktem wszelkie celujące talenta w najrozmaitszych dziedzinach umniejszego życia wynajdywać i oceniać umie.

Z tego to niepospolitego daru porównywano go z Ludwikiem XIV; i w rzeczy samej podczas gdy zwyczajni bankierowie powszechnie swią miernością otaczają się lubią, widziano James'a w najściślejszych zawsze stosunkach z najpierwszymi w każdym zawo-

idzie mężami: chociaż najczęściej zawód sam jest mu obcym, zawsze on jednak wie, kto w tym zawodzie jest mistrzem. Niezna on ani jednej głoski w muzyce, przecież Rossini był mu ciągle domowym gościem i przyjacielem. Sławny Scheffer jest jego nadwornym malarzem; Carème był jego kuchmistrem. Pan Rotszyld pewnie tyle umie po grecku, ile panna Rachel, a przecież on z uczonych najbardziej pana Letronne wyszczególnia. Domowym lekarzem jego był niezrównany Dupuytren, i zawsze w najtkliwszej, braterskiej żyli z sobą przyjaźni. Pana Cremieux, znakomitego prawnika z najzacniejszem sercem, najwcześniejsze Rotszyld ocenił i jego opiece swe sprawy powierzył. Równie też i politycznym Ludwika Filipa zdolnościom pierwszy hołd złożył pan Rotszyld, i poufne stosunki zawarł od dawna z tym przebiegłym politykiem. Emila Percire, tego arcymistrza kolei żelaznych, najprzód pan Rotszyld odkrył, i zaraz go naczelnym swoim inżynierem mianował: onie to obaj założyli kolej żelazną do Wersalu, ową po prawym brzegu Sekwany, na której niema nigdy nieszczęśliwego przypadku.

Jedna tylko poezia niema łaski u pana Rotszylda, w tym zawodzie lubi on tylko Rasyna, Szekspira, Getergo, samych nieboszczyków, — olśnionych szczęściem wieczności, którzy już przebyli walkę ziemskiego życia z dotkliwą potrzebą pieniężnych zasiłków!

K. L.

Nowości literackie.

Legendy; zebrał X. J. Hołowiński. Wilno 1843.

Autor znany z przekładu Szekspira i pięknie napisanej pielgrzymki do ziemi świętej, wystąpił oto z dziełkiem oryginalnem na polu poezii, do której już w swojej pielgrzymce licznymi ustępami zamilowanie swoje okazywał. Jest tych legend piętnaście, niektóre z nich dość długie, a wszystkie opowiedziane wierszem łatwym, płynnym, naturalnym, bardzo rzadko gdzie nieco wymuszonym, lub troszeczką zaoschłym, i w ogólności czytać je można z przyjemnością i pożytkiem: autor bowiem szczególniejszą bacność zwrócił na moral i takowy jest główną i starannie wypracowaną częścią w jego powiastkach. Wszystko coby na zaletę wiersza pana Hołowińskiego mógł powiedzieć, uczuje najlepiej sam czytelnik w odczytaniu następującego wstępu do legend.

W czasach grabieży i niepokoju
Był człowiek co przez lat wiele
Zebrany pieniąż o krwawym znoju
Przechował w garnku, w popiele.

Lecz się nie zwierzył w nagłym skonaniu
Ani przed żoną ni dzieckiem,
I długo, długo tak w zaniedbanu
Ten garnek stał pod przypiekiem.

Jednego razu wszedł do tej chaty
Biedny, zgłodniały podróżny,
Ledwie okryty podłemi szmaty,
I kornie prosił jałmużny.

Choć gospodyni w pośród rodziny
Przy jadłe była za stołem,
Lecz bez litości, jakby na drwiny
Dała mu garnek z popiołem.

Żebrak z modlitwą opuścił chatę,
Przyjawszy datek z ochotą:
Bóg za pokorę dał mu w zapłatę,
Bo znalazł w popiele złoto.

Tak doświadczenie prawdy żywota
Złożyło w prostej legendzie:
Niech pyszny rozum szyderstwo miota,
Pokora prawdy dobędzie.

Po takowem wprowadzeniu, które, że tu nawiasem powiem, jest tworem najudalszym w całej tej książce, następują dalsze legendy. Każda z nich zaczyna się sporym ustępem, o jakiej prawdzie po chrześcijańsku pojętej, jestto jakby założenie autora, a po niem idzie bajeczka, czyli to co dowiedzione być miało.

Jeżeli filantropiczne cele zostawiwszy na boku, zwrócimy uwagę na część literacką tej książki, i zapytamy jaka jest wartość poezijna tych tworów, odpowiedź na to wypadnie niekorzystna. Poezie te są mierne, a niekiedy niższe nad mierność. Więcej powiem, sądząc z niniejszego dziełka o usposobieniu poetycznem autora, potrzeba wyznać, że pan Hołowiński ma mylne wyobrażenie o poezii, jak wszyscy, którzy z ciasnego, jednostronnego stanowiska wychodząc, chcą ją widzieć czemsiś podrzędnem, a nie umnictwem swobodnem i samodzielnem w swojej twórczości. Nieraz się już to zdarzało, że ludzie różnego powołania rozmaicie nią posługiwać się chcieli. Prawniki średniego wieku przeplatał zgęsta kanoniczne prawo wierszami, aby w krótkości i w sposób do spamiętania najdogodniejszy wyrazić to, co w prozie długimi tylko okresami wyrażone być mogło. Poezia więc (bo tę z wierszami brano za jedno) była według niego skoropisem tylko i walnym podpieraczem pamięci obciążonej wagą kanonów. Ułamki takiej poezii dają się jeszcze niekiedy słyszeć z katedr niektórych. W naszych oto czasach niejaki Kostrowiec dowodzi w tygodniku petersburskim, że Bogdan Zaleski zrobiłby był daleko lepiej gdyby zamiast pięknego, natchnionego poematu swego przenajświętsza

rodzina, dał nam był w wierszach prosty z biblii wykrawek i zamiast poety został glosatorem biblijnym. A jakże znowu widzi poezję nasz autor? Oto nie oddala się na włos od widoków Kostrowca, owszem zdaje się jakby tylko zdanie jego chciał rozciągnąć do praktyki, i napisał dziełko które możnaby nazwać rymowaną etyką: bo poezją w prawdziwym tego słowa znaczeniu nie są te legendy.

Aby to nasze twierdzenie nie zdało się komu do wolnem, wymienimy tu zasadę z której wychodzimy, a która większej części naszych czytelników niebędzie zupełnie nieznaną. Poezii celem nie jest moralność, zwłaszcza moralność przykrojona do tej lub owej doktryny, ale między przedziwnymi własnościami jakimi poezia jaśnieje jest i ta, że rozczytujący się w niej z zamiłowaniem mimowolnie poniekąd i bezświadomo, w ogóle człowieczeństwa lepszym, a więc moralniejszym się staje. Inaczej pojmuje poezję autor legend. U niego to co ducha czytelnika elektryzuje, i ku szlachetnemu zapala niewyskakuje ze zmyślenia, z obrazów; dla tego długo i szeroko najprozaiczniejszymi słowami rozprawdany jest morał: boby inaczej czytelnik żadnej z tych zmyśleń nie wyniósł korzyści. W tych tedy jego powiastkach znajdziesz łatwość, naturalność i dowcip, ale nigdzie natchnienia.

Co do treści tych legend, są one po największej części osnute na podaniu, pod którymto wyrazem zwykle dziś tradycję ustną rozumieją. Znaczny już przeciąg czasu upływa jak rzucono się u nas do podań, artyści nasi lub miłośnicy umnictwa i krytycy ciągle o nich rozprawiają, uczeni nawet i historycy obiecują sobie za pomocą podań wyjaśnić dzieje zamierzchłe. Niezaprzeczamy, że między pracownikami na tem polu są ludzie odznaczający się zdolnością lub pracowitością szczególną; ale i to pewna że przedmiot ten podziśdzien u nas nietak gruntownie i praktycznie jak raczej powierzchownie i sentymentalnie z samego naśladownictwa pojmują i rozkrzykują.

Pięknato była myśl dla podźwignienia i ukrzepienia narodowości udać się wprost do ludu, i zebrać podania jego i pieśni. U nas pochwycono ją wtedy kiedy u ludów sąsiednich mianowicie Serbów już gotowe tego rodzaju zbiory znajdowały się i powszechny oklask w świecie naukowym budziły, a to wpłynęło i na naszych zbieraczów. Ponieważ tedy zbierali drudzy, zaczęliśmy zbierać i my, niezastawiając się wiele nad różnicą naszego położenia i właściwym celem takich zachodów. Ztąd pewien zamątek wyobrażeń i rozbrat między chęciami a skutkiem, które tym widoczniej postrzegać się dają im dalej posuniono u nas takie roboty. Mimoto uczeni

nasi poprzestają na rzuceniu kilka ogólników o arcyużyteczności prac takich, lub na wskazaniu przykładu u naszych pobratymców. *)

Są położenia niektórych krain tak smutne, że aby poznać żywioły, które się zwykle do narodowości odnoszą, a stanowią właściwość ich mieszkańców, trzeba uważać lud za naród, wycinając niejako a przynajmniej puszczając z oka resztę ludności. W takich położeniach masa wyobrażeń ludowych nadlatana zrzadka jakąś xięgą cerkiewną, stanowić będzie tak zwaną narodowość, a właściwiej jej zaród na przyszłość. Proszę moich czytelników uważać, czy nie robią tak co do joty nasi zbieracze po dziśdzien, bez względu na stosunek i położenie nasze odmienne. Jeżeli celem prac takich jest ukrzepienie narodowości, toć trzeba obejmować nam ogół narodu i ideów w nim wyrobionych, nie zaś jedną część tylko; a tu przypominamy że część narodu najliczniejsza, niezawsze jest największą, bo wielkość moralna nie na liczbie indiwiduum lecz na potędze myśli zasada się. Tam więc gdzie idzie o pokrzepienie i utwierdzenie, a niestwarzanie narodowości, masa wyobrażeń ludowych powinna być uważana tylko za część uzupełniającą, a to o tyle, o ile z resztą wyobrażeń narodu w harmonii stanąć i w takowe wcielić się zdolna. Wszelki tedy pomysł ludowy jeśli ma zostać narodowym, mianowicie jeśli ma budzić interes ogółu i być szacownym narodowości zabytkiem, musi być podjęty z tego stanowiska oświaty, jakie naród nasz za pomocą dziesięciowiekowych prac umysłowych między innymi narodami osiągnął. A tu łatwo już dojrzeć jakie jest powołanie zbieracza podań (który choć w drobnej części musi być razem artystą, bo inaczej nietrafi do ładu w tej pracy) i w czem będzie jego zasługa.

Według wyobrażenia tedy jakie mamy w tej mierze, umnik czyli artysta narodowy podobny jest do górnika, który najcenniejszego kruszcu we wszystkich warstwach społecznych upatruje w jego zarodzie, aby go za pomocą umnictwa w czystości swojej podać ku użytkowi spólnemu. Będzieto jego niepospolitą zasługą, jeżeli i z najgłębszej niziny z pomiędzy śniedzi i błota wyniesie jaki cenny oszczałek, ale skoro

*) W jednym z nowszych pism polskich wskazuje, podobno nasz szanowny autor historii prawodawstw sławiańskich, jakby jaką nadzwyczajność i wzór dla nas niezrównany, zbiór podań wielkorosyjskich Sacharowa. Wyjąwszy pracowitość, której i naszym niektórym zbieraczom zaprzeczyć niemożna, mogą z resztą zaręczyć, że polski zbieracz nie zasilił się u tego pisarza ani gruntowniejszem zapatrywaniem się na przedmiot, ani estetyczniejszem jego pojęciem.

jest prawdziwym artystą, niedopusi on nigdy aby rudę podlejszą (niemówię już lada żużel) udawać za czyste złoto i upośledzać skarb narodowy. Owszem dołożyć powinien wszelkiego starania, aby ją do równej z resztą zasobów podnieść wartości, albo też w razie niepodobieństwa w braki ją rzucić. Hasłem jego i jedyną skazówką w tej pracy powinna być pięknota, w którymto wyrazie oraz i prawdę i dobroć obejmuję, i tycho przewodników powinien ani na chwilę z oka niespuszczać.

A jakżeto postępują dotąd nasi artystowscy i niby-artystowscy zbieracze? Oto jeden z nich, zasłużeńszy od innych, wziął np. za przedmiot nie już prostego spisu, lecz umniczego obrobienia bajeczkę, w której panna podobno łapie pod kapeluszem ptaszka, a ten się w glinę przemienia. Inny napomyka myślącemu czytelnikowi o jakimś cudownym piórku w kogucim ogonie. A jak dalece szanowana jest od nich prawda, ta nierozdzielna towarzysza pięknoty, i same dzieje narodu, okaże to następujący przykład w legendach Hołowińskiego.

Anna, Aloiza Ostrogska, córka Alexandra, była osobą niepospolitą w swoim wieku. Z rysów jej charakteru podanych przez wiarogodnych pisarzy przypomniem tu następujące. W młodych latach została żoną sławnego hetmana Karola Chodkiewicza, żyła z nim tylko dziesięć miesięcy. Zwycięskie od Chocimia rozgłosy zwiastowały jej zgon męża. Po jego śmierci różni tak koronni jako i litewscy panowie starali się o jej rękę, a między nimi sam król Władysław. Niezachwiało to jednak jej postanowienia ślubowania bogu, i takowe skuteczniejszy trwała w niem najprzykładniej aż do śmierci. W czynnościach swoich wglądała w istotę, nieprzywiązując się do formy. Byłoto w Poznaniu w czasie uroczystości gdy jeden utalentowany prałat, który dawniej odstąpił był od swego zakonnego powołania, szedł na kazalnicę. Wiząc to Anna, mimo swej pobożności wyszła z kościoła mówiąc: jak ten kaznodzieja może duszy mojej radzić, który swojej tak źle poradził.

O jej chrześcijańskich cnotach znachodzimy szczegółowe opisy. W roku 1638 w czasie walnego głodu od którego wiele ludzi pomarło, ona w Zwiachlu majątności swej nietylko poddanym swoim, lecz wszystkim biednym wyznaczyła obroki, czyli, jak dziś zowiemy, ordynarie. Prócz tego wykupowała więźniów, zakładała szkoły i szpitale, a przestrzegala pilnie aby administratorowie jej dóbr nie czynili krzywdy poddanym. Ludzko też obchodziła się z niższymi, a mówiąc

słowami Niesieckiego: przyjmowała mile ubożuchne szlachcianki, i w kościele im obok siebie miejsce dawała.

Wszystkie te szczegóły o ostatniej z domu Ostrogskich znał dobrze pan Hołowiński, przytacza i tom i kartę Niesieckiego, na której czytać je można, a jakkolwiek wskazuje sam za źródło legend wiegi pisane, jednakże nie poszedł za niemi ale za ustnem podaniem. I jakież jest to podanie? Niech mi moi czytelnicy wybaczą, że się tak wyrażę: oto jedno z najgłupszych jakie kiedykolwiek nasi dobrodusznicy zbieracze na papier przenieśli. Ależ pominąwszy już sens ladaco tej bajki, możnaby tu zapytać czy godzi się gwoli ladajakiej banialuce fałszować tak grubo prawdę i poniekąd samą historię? Ta zacna pani której łagodność charakteru, ludzkość i wylanie się dla dobra bliźnich znane było powszechnie, jest w tej legendzie jakąś okrutnicą lekkomyślną: depece ona nogami chleb święcony i ten lud swój, którego, jak widzieliśmy, była ochronicielką i matką dobroczynną. Oto są słowa legendy.

. . . . Do zamku powracała z grodu
Ostatnia pani dawnych książąt rodu,
Lud się ociągał ustępować z drogi
A xiężna wszelkiej zwłoki niecierpiąca
Kazała pędzić, i końskimi nogi
Ludzi i paskę święconą roztrąca.
Po takim kroku na xiężnę ciskali
Paskę i jaja, i wszystko co było.
Bunt się przechadzał pośród ludu fali
I wszystko śmiercią tej pani groziło itd.

Biedna Ostrogska! za swoje wielkoduszne zrządzenie się świata na korzyść ludzkości, doczekała się że ją rodak, chrześcianin i katolik tak szkaradnie oczernia, w brew swemu przekonaniu, i tylko dla tego, że mu ktoś z ludu przez szymatyckiego fanatyka bałamucony, bąknął coś, czego dobrze niewiedział, a coby był opowiedział tenże wieśniak jednemu lub drugiemu zbieraczowi w całej prawdzie, na korzyść xiężny Ostrogskiej, gdyby jaki światły kapłan, gdyby pan Hołowiński na przykład, oświecił go był w tej mierze i nauczył czemto była dla ludu ta Anna?

Że to co mówię nie jest żadnem urojeniem, można się o tem przekonać z własnych słów pana Hołowińskiego. Zajmował się on troskliwie zbieraniem podań, a kiedy mu przyszło dać zdanie z własnego doświadczenia zaczerpnięte, a nie powtórzone na oślep za drugimi (bo i takie znajdziesz w tej książce) tak się wyraża:

»Rzadko gdzie spotkasz (w podaniach ludu) własny pomysł, sąto najczęściej albo naśladowania cudów pisma świętego, albo żywotów świętych, albo nawet talmudycznych podań, co wszystko, nieco prze-robione, krąży pomiędzy ludem. W ogóle panuje jednotonność i taki brak wyobraźni, że po długich żmudnych i usypiających badaniach ledwie natrafisz na to co może przyjąć poetyczną formę.«

Niechby się już raz nasi podaniarze chcieli przekonać że podania w istocie swojej nie są nic więcej, jak zdania lub powiastki, które gmin naiwnie wprawdzie ale mniej więcej niedołęźnie tworzy, lub niedołęźniej jeszcze za drugimi powtarza; że między niemi jest wielka część takich, które ani od ludu pochodzą, ani w interesie jego były tworzone, ani nawet należycie przezeń zrozumiane niebyły, weisnęły się one do niego i zapełniają te nieplodne w myśli głowy (bo je coś przecie zapełnić musiało) jak zapełnia powietrze opróżnioną przestrzeń, a zgniłe i strawione ustąpi przed silniejszym, rzeźwym powiewem myśli przez artystów lub światłych nauczycieli ludu rzuconych; że zatem w razie niezgodności między podaniem a pomnikami pismieniami takie tylko podanie powinno być przez artystę podjęte, które się bądź rzeczywistą prawdą, bądź piękną zmyślenia lub też inną jaką zaletą nad owe pomniki rzeczywiście podnosi; w przeciwnym zaś razie przenosić nad pismienne pomniki podanie, jestto rozszerzać panowanie ciemnoty i nierozsądku.

W drugiej połowie zeszłego wieku zajmowali się zbieraniem podań i pieśni ludu nasi sąsiedzi Niemcy, a chociaż to na lat kilkadziesiąt nietylko przed nami ale i przed wszelkimi zbiorami serbskimi, które nam za wzór służyły robili, przyznać to jednak potrzeba na ich zaszczyt, że już w owym czasie pojmowali je jaśniej i praktyczniej niż my teraz. Goethe oceniał zbiór pieśni ludu wydany przez dwóch swoich rodaków. Oddawszy w zupełności słusność tak ich zasłudze, jako też w ogóle użyteczności prac takich, niewahał się powiedzieć wyraźnie, że zbieracz, oswójony z duchem i układem tych pieśni, ma prawo wbrew gminnemu opowiadaczowi zmienić jeden lub drugi szczegół, a nawet dodać nowy w miarę jak tego umniectwo wymaga. Jeżeli to wołno w pieśniach które są już więcej niby artystowskim wyrobem, toć w surowych podaniach spisanych przez zbieracza — artystę (jakim chce być nasz autor) będzie to powin-

nością niezbędną, tem więcej wtedy, kiedy takowym podaniom historia fałsz zadaje, a ich osnowa niewyszczególnia się ani poezijnością zmyślenia, ani też żadną inną zaletą dla którejby je zatrzymać warto. Nasz autor bliskim już był tej prawdy, kiedy za źródło istotne legend wskazywał oprócz żywotów świętych i bogobojnych ludzi, ojcyste kroniki i tym podobne piśmienne pomniki, i gdzie nieco użytkować z nich próbował; ale w najpiękniejszej części, wołał on uleść tej dość u nas rozpowszechnionej a fałszywej opinii, że co z ust czy głowy prostego wieśniaka wychodzi, już tem samym lepsze jest niżeli wszystko co pochodzi od ludzi ukształconych choćby najgłębiej myślących. Dla tego to legendy z podań ludu, które wyżej sam autor za proste naśladowanie pisma i żywotów świętych a nawet podań talmudycznych uznaje, i na ich ubóstwo i niepoezijność skarży się, w drugim miejscu przenosi nad pomniki pismienne i zowie najpiękniejszymi i najprawdziwiej narodowymi (?), niepostrzegłszy się, że przeto i pismu świętemu i żywotom świętych ubliżył.

Według tej tedy rozpowszechnianej u nas opinii zdawałoby się że naród nasz jest rakiem i zamiast iść naprzód wraz z całym człowieczeństwem drogą oświaty, cofa się wstecz chcąc te korzyście jakie z niej wyniósł utopić w odmęcie grubych niedorzeczności i barbarzyństwa, jakie ku niemu z niektórych zakątków wygląda.

Z tego co dotąd powiedziałem widoczna, że pan Hołowiński stanowiskiem swoim, z którego zapatruje się na poddania, nie wyróżnił się od swoich poprzedników, chociaż z tych pretensii do artystostwa jakie w jego książce widzimy, słuszenie możnaby się spodziewać od niego lepszego zgłębienia przedmiotu. W legendach swoich zamiast mieć przed oczyma cel artystowski i według niego się kierować, trzymał się on niewolniczo poddania, dla tego mimo powierzchniowych zalet wiersza, najczęściej tworom jego, umniczego rozmiaru, pięknoty zmyślenia czyli obrazów, a często nawet smaku brakuje.

A. Bielowski.

Szanowni prenumerotorowie na pisma Franc. Wikt. Dmochowskiego zechcą się zgłosić po odebranie swych exemplarzów do tych osób, od których bilety wzięli.